

Słowianie południowi, Syryjczycy i inne mityczne stworzenia

8 marca 2016

“Ci, którzy nie pamiętają przeszłości, są skazani na powtórzenie jej” – George Santayana.

Po I wojnie światowej, zakończonej w 1918 r., nastąpił szereg konferencji międzynarodowych, na których zwycięzcy dzielili zdobycze, decydując o losie terytoriów odebranych pokonanym. Szczególnie terytoriów, które pozostały po rozpadzie Imperiów Osmańskiego i Austro-Węgierskiego.

Jedna z tych konferencji odbyła się w Paryżu w lipcu 1922 r. Pod przewodnictwem francuskiego ministra spraw zagranicznych dyplomaci z Wielkiej Brytanii, Włoch i Japonii – z ambasadorem USA „prowadzącym z tylnego fotela” jako obserwator – „uznali nowe państwo: Jugosławię”.

Oznaczało to po prostu “Kraj Słowian Południowych”. Ten nowo wyprodukowany kraj zebrał do kupy kilka dość różnych populacji. Nie trzeba dodawać, że nikt nie pomyślał o zapytaniu prawosławnych Serbów, czy mają uczucia solidarności narodowej wobec katolickich Chorwatów, nie mówiąc już o muzułmańskich Bośniakach i Albańczykach. Dla „oświeconych” dyplomatów zachodnich, popijających znakomity koniak w Paryżu, wszyscy „Słowianie południowi” brzmiali i wyglądali w zasadzie tak samo. Co więcej, miejscowi potentaci (oni powinni wiedzieć, prawda???) zapewniali ich, że nowo oznakowani Jugosłowianie będą wszyscy żyć w błogiej harmonii – na wieczność i jeden dzień.

Następnych kilka dziesięcioleci wydawało się potwierdzać słuszność tej opinii; „naród jugosłowiański wydawał się zdumiewająco zwarty. Ale nie była to cała prawda; tylko

żelazna ręka kolejnych dyktatorów dławiła każdy pisk secesjonistyczny.

W końcu jednak umiera nawet najsilniejszy despota; nawet najbardziej nieustępliwy chwyt musi w końcu zelżeć. Na początku lat 1990. „Jugosławia” stała się areną koszmarniej wojny domowej. Trwała przez dziesięć lat, kosztowała życie 150 tysięcy „Jugosłowian” i wygnała z domów około 4 miliony ludzi.

Zaangażowali się w to także aktorzy z zewnątrz, z Turcją popierającą muzułmańskich Bośniaków i Rosją dostarczającą wsparcia prawosławnym Serbom.

W połowie tej męki Rada Bezpieczeństwa Narodów „Zjednoczonych” ogłosiła miasto Srebrnicę „bezpiecznym obszarem” dla cywilów; Srebrnica miała być „chroniona” przez jednostkę armii holenderskiej działającą jako „strażnicy pokoju” w imieniu Narodów „Zjednoczonych”. Niemniej miasto okazało się być wszystkim, tylko nie bezpiecznym miejscem dla 8373 ludzi zamordowanych z zimną krwią; i nikt nie chronił wielu setek kobiet i młodych dziewcząt, które zostały masowo zgwałcone.

Ten wypadek niewysłowionej niełudzkości zmusił wreszcie zbrodniczo bezdusznych „przywódców” Zachodu do interwencji zarówno militarnej, jak dyplomatycznej. A i tak zabrało kilka lat zanim udało się zatrzymać krwawe jatki.

W końcu wyłonił się pierwszy kruchy, ale coraz bardziej stabilny pokój. Z milionami wysiedlonych ludzi i rozwiązaniem sztucznym państwem, byłym „Jugosłowianom” udało się przeorganizować za ustalonymi zbrojnie granicami i stworzyć kilka państw narodowych. I to, właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, usunęło bodziec do rozlewu krwi: z cenioną tożsamością potwierdzoną, bezpieczni za granicami narodowymi oraz nie zagrożeni dłużej sztuczną „narodowością”, ci ludzie nie mieli już o co walczyć.

„Jugosławia” nie była jedynym sztucznym państwem stworzonym po I wojnie światowej. W podobny sposób, w byłych ziemiach

osmańskich, narodziły się Irak, Syria i Liban, dzieci małżeństwa z rozsądku między zachodnimi imperialistami a głodnymi władzy lokalnymi potentatami. W Lewancie, tak samo jak na Bałkanach, nikt nie pytał rozmaitych populacji (Kurdów, Arabów, Druzów i Aramejczyków, ludzi wyznania sunnickiego, szyickiego, alawickiego lub chrześcijańskiego) czy życzą sobie wymienić swoje pradowe i instynktowne tożsamości na nowo ukutą narodowość „iracką”, „syryjską” lub „libańską”.

Nic dziwnego, że nastąpiły krwawe łaźnie: najpierw w pozbawionym steru Libanie; ale wkrótce także w Iraku i Syrii – gdy tylko usunięto miejscowego dyktatora albo go wystarczająco osłabiono.

Podobieństwo między przypadkami „jugosłowiańskim” i „syryjskim” jest uderzające; nawet niektórzy zewnętrzni protagoniści są ci sami: Rosja i Turcja znalazły się – w Syrii tak samo jak w Jugosławii – popierając przeciwne strony w konflikcie.

Podobieństwo może być uderzające – ale nie dla bezmyślnych dziennikarzy zachodnich; ani dla nieudolnych i nieuczciwych „przywódców” zachodnich. Jeszcze nie zrozumieli, że są to podobne problemy – nie mówiąc już o tym, że mają podobne rozwiązanie.

Ludzie walczą z wielu powodów; ale wojna „syryjska” – tak samo jak wojna „jugosłowiańska” – jest przede wszystkim walką o tożsamość. Jak w większości ludzkich konfliktów takie wojny są głównie podsycane przez strach. Strach przed fizyczną eksterminacją, oczywiście; ale – jeśli to możliwe, nawet bardziej – strach przed duchowym unicestwieniem. Mimo tego, w co samozwańczy „postępowcy” na Zachodzie chcieliby, byśmy wierzyli, ludzie cenią swoje tożsamości – czasami bardziej niż życie; bowiem tożsamość przemawia do samego sedna duszy – jego pragnienia nieśmiertelności. Ludzie idą na wojnę, ryzykując życie, kiedy uznają, że zagrożona jest ich tożsamość, ich pierwotne poczucie przynależności (czy to plemiennej,

etnicznej, religijnej czy etniczno-religijnej).

Wynika z tego, że każde rozwiązanie musi uśmierzyć ten strach. Znaczy to pilnowanie własnego życia; ale nawet bardziej, chronienie własnej tożsamości – przeciwko biernemu rozmyciu się i przymusowemu rozpadowi – w ramach spójnego państwa.

Wynik wojny w „Syrii” będzie z największym prawdopodobieństwem taki, jak w „Jugosławii”: wcześniej lub później Lewant zostanie zbałkanizowany; sztuczne granice między „państwami” postkolonialnymi (które już są tylko fikcją prawną) zostaną z czasem zastąpione przez granice etniczne i wyznaniowe.

Wcześniej lub później zdarzy się to w krajach wynalezionych przez Francuzów „Syrii” i „Libanie”, jak również w wynalezionej przez Brytyjczyków „Mezopotamii” czyli „Iraku – tak samo, jak zdarzyło się to w byłych koloniach brytyjskich Indiach, Palestynie i na Cyprze.

Ten proces już jest solidnie zaawansowany. Około 14 milionów „Syryjczyków” jest wysiedlonych. Ci ludzie nie kierują się wszyscy do Europy lub do sąsiednich krajów – większość przeniosła się tylko do innych części „Syrii” – części, którą „przypadkiem” zamieszkują ludzie o podobnej tożsamości. Bezpieczniej jest w kupie.

Ten rozwój sytuacji może się podobać lub nie podobać. Można to nazwać „wymianą populacji” lub „czystką etniczną”; jakkolwiek jednak to nazwać, jest to z pewnością lepsze niż masakry i eksterminacja. Zapytajcie tylko muzułmanów z Srebrnicy albo Jazydów z Iraku. Jeśli znajdziecie jakiegoś żywego.

Gdyby „przywódcy” zachodni mieli jakiś rozsądek (nie mówiąc już o tej nieuchwytniej jakości zwanej przywództwem), planowaliby jak pomóc, by zdarzyło się to tak szybko i tak bezboleśnie, jak to możliwe.

Ale nie mają takich planów. Zamiast tego spędzili właśnie kilka dni w Genewie wymyślając „porozumienie”. Porozumienie

tak pomocne, że nawet ciemny jak tabaka w rogu korespondent BBC donosił, że: „Zarówno Siergiej Ławrow, jak John Kerry przyznali wielokrotnie, że jest to jedynie postęp na papierze. Niektórzy dyplomaci już mówią, że “nie jest wart papieru, na którym go wydrukowano”.”

A nawet to zostało zrobione tylko po to, żeby pokazać zaniepokojonym wyborcom krajowym, że “przywódcy” faktycznie coś robią w sprawie groźby milionów “Syryjczyków” mogących zalać Europę.

Oczywiście porozumienie genewskie będzie skrupulatnie realizowane... gdy tylko ostygnie piekło. W pełni tego świadomi politycy UE wrócili tymczasem do innego rozwiązania, równie „dyplomatycznego” i równie nieuczciwego, ale – jak mają nadzieję – bardziej praktycznego: przekupienia Turcji, by przyjęła uchodźców i zapobiegła ich dalszej podróży do Europy.

Tymczasem kilku polityków opozycyjnych, przywódców religijnych i działaczy NGO argumentuje, że Europa powinna hojnie otworzyć bramy dla uchodźców. Z tego, co wiem, żaden z nich jeszcze nie zaofiarował umieszczenia rodziny „Syryjczyków” w pokojach gościnnych swojego domu; co nie przeszkadza im w poklepywaniu się z zadowoleniem po plecach.

Ludzie wyposażeni w straszliwe obciążenie zwane “zdrowym rozsądkiem” mogliby zapytać, dlaczego – jeśli miliony „Syryjczyków” muszą opuścić swoje domy – mają oni być sprowadzeni aż do Europy i rozproszeni wśród populacji miejscowej, z którą mają niewiele wspólnego. Dlaczego nie pomóc im w osiedleniu się w innej części „Syrii”, wśród ludzi mających to samo dziedzictwo kulturowe?

Co stanie się, kiedy miliony “Syryjczyków” osiedlą się w Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii? Optymiści śnią, że „zintegrują się” oni w Multi-Kulti Utopii. „Zintegrują”??? Dlaczego mieliby chcieć „integrować się”? Ludzie są czymś znacznie, znacznie więcej niż żywymi organizmami. Nie, nie

chodzi tylko o uratowanie ich życia; nie chodzi tylko o nakarmienie, ubranie, wykształcenie i dostarczenie opieki zdrowotnej: to nie są bejski psy, które potrzebują domu, ale ludzie z bogatym bagażem kulturowym, z tożsamościami, które wysoko cenią. Tak samo jak byli „Jugosłowianie”.

Z samostanowieniem we własnych ojczyznach narodowych te różne społeczności „syryjskie” będą rozwijały unikatowe cywilizacje w kolorowej mozaice ludzkości; spróbuj jednak przeszczepić ich na chybił trafił z dzielnicy Damaszku do slumsów Dusseldorfu – a wszystko, co otrzymasz, to horror Mollenbeek: tę niszczycielską frustrację ludzi pozbawionych tożsamości. Jest to ludobójstwo kulturowe udrapowane w szlachetną szatę azylu.

Ludzie Zachodu nie mają żadnych problemów z Bośniakami, Serbami i Chorwatami, z których każdy żyje w osobnym, suwerennym państwie narodowym; popierają nawet „rozwiązanie w postaci dwóch państw” dla palestyńskich Arabów i Żydów. Niemniej, kiedy chodzi o Syrię, pompatyczne, świętoszkowate dupki, takie jak John Kerry, absurdalnie marzą o „przyszłości, która zapewni Syrii jedność, niezależność, integralność terytorialną i niesekciarski charakter”.

Oczywiście, problem w tym, że „jedność, niezależność, integralność terytorialną i niesekciarski charakter” nie istnieją w Syrii – i w rzeczywistości nigdy nie istniały; ale, co tam, to nie powstrzyma pana Kerry’ego od walki o te „wartości” – do ostatniego „Syryjczyka”!

Autorstwo: Noru Tsalic

Tłumaczenie: Małgorzata Koraszewska

Źródło oryginalne: pol-inc-pol.com

Źródło polskie: ListyzNaszegoSadu.pl

OD ADMINISTRATORA „WOLNYCH MEDIÓW”

W artykule brakuje informacji o jednym wspólnym czynniku dla wojen w Syrii i Jugosławii, którą autor (izraelski bloger) najwyraźniej świadomie przemilcza. Chodzi o rolę i

zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w obu konfliktach. Poza tym zgrzytem artykuł wydaje się ciekawą analizą.